

# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

## Z życia królowej Wiktoryi.

Wczesnym bardzo rankiem z zamku Windsor, położonego nad rzeką Tamizą, na złoto kasztanowatym kucyku wyjechała młodziutka dziewczeczka, ubrana w błękitną amazonkę i skromny kapelusik z białym piórem. Tuż za nią jechała średnich lat towarzyska, dalej nieodstępny groom. Dama zwracała wciąż uwagę na młodziutką amazonkę, która wszakże dosiadłszy raz ulubionego kasztanka, puściła go pełnym galopem, nie oglądając się wcale na swą poważną towarzyszkę.

Zaledwie wysunęły się z parku, otaczającego pałac, młoda dziewczeczka skręciła zaraz na wąską drożynę, przerywnąjącą główną drogę i prowadzącą do gęsto rozsianych chat rybaczyc.

Towarzyszka z pewnym przestraczeniem pędziła za jadącą, nie mogąc wszakże jej dorównać.

Nagle kasztanek się zatrzymał, dziewczeczka szybko zeń zeskoczyła, zgarnęła w rękę długą swą sukienkę, okręciła koło przydrożnego drzewa lejce i pozostawiając konika, szybko szła pieszo po spadzistym urwisku.

Towarzyszka i groom, ujrawszy konia bez śmiałej amazonki, przerazili się niepomiernie. Nie zdołali jednak zdać sobie jeszcze sprawy, co się z nią stało, gdy ujrzeli wracającą. W fałdach zebranej w ręce błękitnej amazonki dzwigała ostrożnie jakiś ciężar, spoglądając nań od czasu do czasu z wielką troskliwością. Nie dając zaś przyjść do słowa zatrwożonym o nią, żywo zawołała:

— Prędko, prędko, leży tam kobieta omdlała, może nawet umarła, trzeba ją zabrać, nie mogłam jej zdźwignąć, zabrałam tylko to oto maleństwo.

To mówiąc rozchyliła fałdy amazonki i pokazała kilkodziwną może dziecinę, owiniętą w bardzo ubogie pieluszki.

Dama, która poprzednio miała ochotę zrobić jej wy-mówkę, spojrzawszy teraz z tkliwością i obie zajęły się uciszeniem maleństwa, które nic sobie nie robiąc ani z błękitnej amazonki, ani z towarzystwa, poczęło krzyczeć, ile mu sił starczyło.

— John niech się zajmie matką, przewiezie ją do zamku — rozkazywała młoda dziewczeczka — my musimy jak najprędzej wracać, ażeby to maleństwo mlekiem napić, krzyczy już od dość dawna i żałośnym tym krzykiem przywołało mię do siebie!

— Daj konia — dodała, zwracając się do groma.

— Księżniczko, nie możesz przecie sama nieść tego maleństwa — ozwała się tonem perswazyi dama.

— Zapewne! mam je rzucić, żeby z głodu i krzyku umarło — odrzekła księżniczka.



Księżniczka Wiktorya przy lekcyi geografii (według rysunku z 1832 r.)

I przytwierdziwszy z zawiniętą dzieciną amazonkę do paska, lekko wskoczyła na swego kasztanka. Otuliła je jak najwygodniej i popędziła co tchu z powrotem do zamku.

Czyniła zaś to wszystko tak szybko i z taką stanowczością, że wszelki opór na nic by się nie przydał.

Towarzyszająca jej dama, widząc, że nic w tej chwili nie poradzi, wskoczyła również na konia i pojechała za księżniczką, polecając groomowi spełnić jej rozkaz.

Niestety kobiety ocucić nie można już było, zajęto się tylko jej pogrzebem, osieroconej zaś córeczce nadano imię Katy.

I dobrze było Katy pod opieką młodej księżniczki, dobrze, jak wszystkim sierotom pod opieką królowej Wiktoryi.

Dziewczynką ową bowiem był nie kto inny, jak przyszła królowa angielska, Wiktorya, urodzona 24 maja 1819 roku, a zmarła w sędziwym wieku d. 22 stycznia r. b. w zamku Osborne na wyspie Wight (Uejt). Była ona córką Edwarda księcia Kentu i wnuczką króla Jerzego III. Po śmierci ojca w r. 1820 stała się dziedziczką korony angielskiej. Odpowiednie też ku temu odbierała wychowanie pod kierunkiem matki i wielkiej mistrzyni księżnej Northumberland.

Gdy drugi bezdzietny stryj jej Wilhelm IV zmarł w r. 1837, wstąpiła na tron d. 20 czerwca tegoż roku w 18-iej wiośnie życia i odtąd przez lat przeszło 63 rządziła olbrzymiem państwem. W Anglii parlament zajmuje się głównymi sprawami państwa, król nic nie może postanowić bez zezwolenia parlamentu, lecz rozumna i dobra królowa wielokrotnie umiała wpłynąć na działalność posłów, ministrów i mężów stanu.

Królowa Wiktorya była prawdziwym wzorem cnót niewieścich. Zaślubiwszy w r. 1840 krewnego swego Alberta ks. Sasko-Kobursko-Gothajskiego, (który zmarł 1861 r.) wychowała dziewięcioro dzieci. A wychowała nie powierzając je wyłącznie pieczy obcej, lecz jak prawdziwa matka i zacna kobieta, czuwając nad niemi w chorobie i kierując sama nauką i rozwojem charakteru. Nawet w późniejszym wieku, gdy najstarszy syn jej ks. Walii, obecny król, przechodził w r. 1871 niezwykle ciężki tyfus, przez miesiąc cały nie kładła się niemal do łóżka, spędzając przy chorym dni i noce. Umiała zawsze łączyć obowiązki kobiety-matki z obowiązkami monarchini, a jeżeli lży niedoli i gwałtu płynęły w jej państwie, było to nie z jej winy, owszem spadały one na jej serce, które razem z cierpiącymi bolało

z.

Do tych cech charakteru zgasłej królowej dodajemy jeszcze, że należała do rzędu najbardziej wykształconych i utalentowanych niewiast swego wieku. W muzyce była uczennicą słynnego pianisty Thalberga, śpiewała i rysowała bardzo dobrze, a zamiłowanie do literatury i sztuki starała się rozwijać u licznych swych dostojnych cór i wnuczek, twierdząc, że stanowią one prawdziwe upiększenie i uprzyjemnienie życia.

Jak większość Angielek, wybornie jeździła konno, a przytem znała się wybornie na gospodarstwie domowem, nie gardziła robotami ręcznymi, słowem nietylko z urodzenia i stanowiska, lecz z umysłu i charakteru należała do wyjątkowych postaci ubiegłego stulecia. Nic więc dziwnego, że naród angielski, nad dwoma pokoleniami którego panowała, a z nim świat cały, z prawdziwym żalem współczuciem przyjął wiadomość o zgonie sędziwej mo-

narchini, której zwłoki w dniu 2-go lutego złożone zostały do mauzoleum Fragmore koło Windsoru, obok zwłok małżonka.

Pierwsza nasza rycina przedstawia królowę Wiktoryę, jako młodziutkę księżniczkę przy lekcji geografii. A nie dziw, że tej nauce musiała poświęcać wiele czasu, gdyż państwo jej, obecnie najrozleglejsze na kuli ziemskiej, posiadało olbrzymie posiadłości we wszystkich częściach świata. W roku 1877 do tytułu „królowej Wielkiej Brytanii i Irlandyi” dołączyła tytuł „cesarzowej Indyi” (Empress of India). Na schyłku XIX wieku, który Anglicy nazywają wiekiem królowej Wiktoryi, obszar całego państwa angielskiego wynosi w okrągłych cyfrach 28 milionów kilometrów kwadratowych, na których żyje 387 milionów ludzi. Ale nietylko pod względem obszaru i zaludnienia wzrosła Anglia w ciągu jej długiego panowania, i pod innymi względami naród ten poczynił olbrzymie zdobycze, zarówno w naukach i sztuce, jak w przemyśle, handlu, oświacie, dobrobycie i urządzeniach społecznych. Tylko ostatnia wojna z Transwaalem i Oranią w Afryce południowej rzuciła cień na potęgę „tej królowej mórz,” jak z dumą nazywają Anglicy swoją ojczyznę.

Nowy król angielski (Albert Edward książę Walii), który pod imieniem Edwarda VII wstąpił na tron po śmierci matki, liczy już rok 61-y, gdyż urodził się d. 9 listopada 1841 r., ożeniony jest z księżniczką Aleksandrą, córką króla Duńskiego. Ostatni król tego imienia, Edward VI-y z dynastyi Tudorów, był synem słynnego Henryka VIII-ego; panował niedługo od r. 1547 do 1553 i umarł w młodym wieku. Następcą tronu został syn króla, ks. Jorku, z tytułem księcia Kornwalii i Jorku. Ma lat 35 i jest ożeniony z księżniczką angielską Maryą of Teck.

## B A Ś Ń

### O zaklętej królownie i dzielnym ŻAKU.

(Dalszy ciąg)

Czas upływa wiecznie rączy,  
Jako bystrej fali bieg,  
Jutro siódmy rok się kończy,  
Dla królowny rok — jak wiek;  
Aż urodny żak nadchodzi,  
Młody żak z dalekich stron,  
Z wiarą, jako wszyscy młodzi,  
Ufny w trudów swoich plon,  
Bez konia w górę się pnie,  
Choć z mozołem — z jasnym czołem  
Wzwyż powoli się gramoli.

O królownie z szklanej góry  
Dawno słyshał, nie od dziś,  
Lecz pierw poszedł w ciemne bory,  
Kędy zamieszkuje ryś;  
Zabił rysia, zabrał szpony,  
I przyprowadził do rąk dwóch,  
Taką bronią opatrzony,  
Darł się śmiało w górę zuch,  
Nie żałując własnych sił.  
Sił nie szkoda, gdy nagroda  
Upragniona — zapewniona.

Śmiało wdziera się żak młody,  
 Wdziera się na góry garb,  
 Dwie czekają go nagrody:  
 Cud — królowa i jej skarb;  
 Więc tą myślą podniecany,  
 Ostatnią dobywa moc,  
 By się dostać na szczyt szklany  
 Nim zapadnie ciemna noc,  
 Nim nocy zapadnie mrok.  
 Ale ręce pacholące  
 Nieść ku górze nie chcą dłużej.

Strach ogarnia jego serce,  
 Pięknych marzeń prysnął czar,  
 I isierka po isierce  
 Już nadziei gaśnie żar.  
 Pokrwawione słabną nogi,  
 Zmęczenie zapiera dech,  
 Ustał żak w połowie drogi,  
 Od pragnienia język zsechł,  
 A wnętrzości szarpie głód.  
 Pragnie, łaknie, tchu mu braknie,  
 Myśl się mroczy, gasną oczy.

Nadpłynęły czarne chmury,  
 Zasłoniły niebios szlak  
 I rzuciły cień ponury...  
 Próżno prosił, błagał żak,  
 By choć kroplę wody dały  
 Dla spieczonych jego warg,  
 Chmury pierzchły, nie słuchały,  
 Nie słuchały próśb i skarg,  
 Nie zwilżyły zeschniętych ust.  
 A tymczasem poza lasem,  
 Poza łąką gaśnie słońko.

W górze gwiazdek lśnią miliony,  
 Rozpraszając zlekką mrok,  
 W srebrne gwiazdy zapatrzony  
 Żak do góry podniósł wzrok,  
 Zapatrzone w gwiazd oczęta,  
 Zapatrzone w gwiazdny krąg,  
 Wnet zapomnął, nie pamięta  
 Swoich cierpień, swoich mąk,  
 Rozpaczliwa pierzchła myśl,  
 Bo gwiazdziste niebo czyste  
 W naszej duszy trwogę głuszy.

Przygłuszywszy bóle swoje,  
 Żak zapomniał, gdzie jest sam,  
 I snuć począł marzeń roje,  
 Jakby stał u zamku bram;  
 A myśli, rozpiąwszy żagle,  
 Szybowały w przestrzeń, hen,  
 Dopóki żakowi nagle  
 Ocz nie skleił smaczny sen,  
 Śpi na góry stoku żak,  
 Śpi — a pewnie o królownie  
 Z marzeń zwrotką zasnął słodko.

Miał widzenie piękne we śnie:  
 Widział w dole cały świat,  
 A gdzie spojrzął, jednocześnie  
 Tam wyrastał śliczny kwiat;  
 A królowa szła po świecie,  
 Niby wśród wzorzystych łąk,  
 I za kwieciami rwała kwiecie,  
 By z nich barwny uwić krąg  
 I uwieńczyć żaka skroń.  
 Skroń młodzieńczą z kwiatów tęczę  
 Uśmiechnioną wieńczy ona.

Lecz choć we śnie ostre szpony  
 W szkło zapuścił mocno tak,  
 Ze na stoku zawieszony,  
 Do północy przespał żak,  
 Z onej góry nie zleciawszy,  
 Dla wszystkich to istny dziw,  
 Gdy się zbudził zdrowszy, żwawszy,  
 Odetchnął zapachem niw,  
 Który z pól nawiewał wiatr.  
 A miesiąca tarcza lśniąca  
 Blaski zlewa, srebrzy drzewa.

\* \* \*

(d. n.)

## PANICZYK

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

Dzieciak wziął chleb, poniósł go chciwie do ust, drugą zaś ręką zasłonił się przed swą opiekunką, jak gdyby chciał się bronić lub uniknąć jej widoku.

Lecz Piotrowa nie zwróciła nawet na to uwagi, przybliżyła się tylko do Hani i jej matki, które tymczasem wysiadły z bryczki i kłaniając się nisko, mówiła:

— Ponoć jaśnie pani i panienka chcą wiedzieć o nieboszczce?

— Tak, moja dobra kobieto, cóż to była za jedna? — rzekła pani Chrustowska

— Ba, toć żołnierka, wiadomo.

— Czy nie miała matki, ojca lub jakich krewnych, którzyby się zaopiekowali chłopcem? — pytała dalej pani.

— Gdzie tam! ojciec i matka poszli do Ameryki, wzięli ze sobą starszego syna i najmłodszą dziewczuchę, sprzedali grunt i chałupę i wszyscy pojechali za morze — mówiła Piotrowa

— A gdzież oni mieli chałupę? — spytała znów pani.

— A gdzieżby, tutaj na Budach!

— I któż ją kupił?

— Toć ja... — ozwał się Piotr.

— A jużci, dał za nią co jeno chcieli, jeszcześmy oto musieli Jędrzejkę do śmierci dochować! — przerwała mu żona.

— A Jędrzej dawno poszedł do wojska? — spytała znów pani.

— Kto go tam wie! toć chłopak nie miał i miesiąca, kiedy go wzięli — mówiła dalej kobieta.

— A ileż lat ma chłopiec?

— Bo tam wiem, ponoć już mu się obróciło na siódmy.

— To przecież Jędrzej już oddawna powinien był wrócić! — rzekła pani.

— Ba, toć inni popowracali, ale Jędrzej, kto wie, gdzie go brzeg.

— Jak masz gadać, to gadaj jak i co — przerwał Piotr żonie.

— No, bo co mam gadać! — ofuknęła.

— To ja powiem jaśnie pani całą prawdę — mówił chłop, kłaniając się nisko.

— Mówcie, mówcie, mój dobry człowieku.

— Jak inni popowracali, co razem z Jędrzejem poszli a o nim ani słycho, tak nieboszczka, niby to Jędrzejka,

chodziła do urzędu, pytała się, to z urzędu przyszło takie pismo, że Jędrzej dawno już puszczone, a potem to już nikt o nim nie słyszał, a i w urzędzie nic nie wiedzą.

— Więc chłopiec nie ma ani ojca, ani matki, to ja go wezmę do dworu.

— Co to z przeproszeniem jaśnie pani, to nie — przerwała Piotrowa. — Już ja jego ta nikomu nie dam! Krzywdy tu nie ma, oo!

I wskazała na chłopca stojącego z kawałkiem chleba.

Pani Chrustowska starała się przekonać, że chłopca wychowa na porządnego człowieka, gdy jednak Piotrowa wciąż upierała się przy swoim, pani rzekła:

— Nikt was nie niewoli, moja kobieto! I zaraz zawołała: — Haniu, jedziemy!

Hania bowiem podczas rozmowy matki, zbliżyła się do chłopca i głaszcząc go po rozczochranej głowie, pytała:

— Pojedziesz ze mną?

— Pojadę! — odrzekł chłopak i uczeplił się jej sukni.

I tak dalej i dalej poczęła z nim rozmowę, a dzieciak odpowiadał jej, trzymając wciąż za suknię.

Zapomniał nawet o chlebie, który poprzednio chciwie jadł.

Teraz kiedy usłyszawszy walenie matki, chciała odejść, chłopiec uczeplił się jej sukni tak mocno jak wczoraj i począł krzyżeć z całej siły. A gdy pani Chrustowska podchodziła do córki, chcąc jej powiedzieć, że sierota znalazł już innych opiekunów, Piotrowa szybko przyskoczyła i chwyciwszy za rękę Pawełka, szarpnęła go tak gwałtownie, iż o mało nie rozdarł sukienki Hania.

— Pójdź, pójdź, nie bój się, nie dam cię nikomu! — mówiła, starając się głos łagodzić, gdy tymczasem oczy pały jej gniewem.

Lecz chłopak wyciągając rękę, krzyczał:

— *Paninko, paninko!*

Piotrowa szarpiąc, przytrzymała go przy sobie.

— Nie szarpcie go tak — zawołała Hania, stając w obronie małego swego przyjaciela.

Lecz Piotrowa spojrzała na nią takim nieprzyjemnym wzrokiem, że dziewczynka pomimowoli odwróciła się, żeby tego spojrzenia uniknąć.

— Haniu, jedziemy — rzekła matka. — Ta gospodyni chce sama opiekować się chłopcem, nie mamy tu co robić — dodała.

Tymczasem chłopak, trzymany przez swą opiekunkę, krzyczał w niebogłose, aż nadszedł Piotr i pochwyciwszy go, uprowadził do chaty.

— Zostańcie z Bogiem — rzekła pani Chrustowska, odchodząc wraz z Hanią.

Piotrowa mruknęła coś pod nosem, co z dobrem życzeniem nie miało nic wspólnego, po chwili jednak podbiegła i do siedzących już pań na bryczce ozwała się najśłodszym, na jaki się zdobyć mogła głosem:

— Toć jeśli już panienka tak upodobała sobie tego chłopaka, to niechże tam co zostawi dla niego choćby na koszulinę!

— Uszyję dla niego koszulę i sukienkę i przysię lub przyniosę! — odrzekła Hania.

— Ba, żeby tak parę groszy... toć i pogrzeb kosztował, a nam ciężko!... — mówiła dalej Piotrowa, zerkając z pod oka.

— Chciałyśmy wam ulżyć i zabrać chłopca, nie chcecie go oddać, nie narzekajcie teraz! — ozwała się pani Chrustowska, której żebrania i całe zachowanie się tych ludzi bardzo się nie podobało.

Szymonie, jedźcie! — zawołała oschłym, surowym głosem.

— Szymon zaś, który jakiś zły i chmurny siedział już od dawna na kozle, ruszył zaraz z miejsca, starając się próżno omijać wyboje lub kupy nagromadzonych śmieci.

Za odjeżdżającymi pogroziła pięścią Piotrowa, mrużąc:

— Opiekunki, pewno się o chałupie zwiędziały! Nie doczekanie wasze!

Tymczasem pani Chrustowska i Hania odetchnęły swobodniej, gdy minęły brudne, rozwalające się chaty i wjechały do lasu, oddzielającego Budy od szosy.

— Ach, mamusiu, jacy ci ludzie nieprzyjemni! — odezwała się milcząca dotąd Hania. — Tacy jacyś inni niż w naszych chatach.

— Prawda, moje dziecko, nic się teraz nie dziwię, że wszyscy o nich z niechęcią się odzywają, muszą to być rzeczywiście źli ludzie.

— To zbóje! — mruknął Szymon. — Po próżnicy się jeno pani i panienka trudziły, nie popuszczą oni tego chłopaka, oho!

— Dlaczego? — spytała pani.

— Ho, to cała historia! ja już wymiarkowałem!

— Cóżecie wymiarkowali, mój Szymonie? — spytała Hania.

— Powiedźcie! — zachęciła pani.

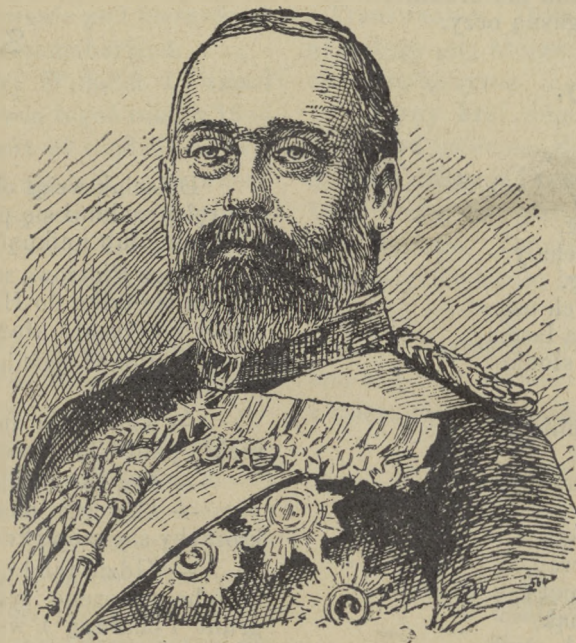
— Toć to chałupa i kawał gruntu, to wszystko nieboszczeni...

— Jakto, matki małego Pawełka? — spytała Hania.

— A przecie! Ojciec Jędrzejki, gdy odchodził do Ameryki temu lat siedm — oddał mu pięć morgów gruntu, chałupę z zabudowaniami, pięć krów i rozmaity dobytek w dzierżawę na lat trzy i wymówił sobie, żeby Jędrzejka z mężem mieli izbę na mieszkanie. W rok potem Jędrzejka wzięli do wojska, i zaraz Piotrowie kobietę wyrzucili z izby, dali jej tylko kąt u siebie, za który kazali odrabiać. Jędrzejka, jak Jędrzejka, dobra była kobieta, ale nie umiała sobie dać rady, cierpiała więc biedę z dzieciakiem, ale jakoś z rok temu, ktoś jej otworzył oczy, że już dawno trzy lata minęło i powinni jej oddać całą majątność. Upominała się więc o swoje, prosiła, aż Piotr ze swoją babą tak ją zbili, że od tego czasu ciągle chorowała, aż i umarła!...

— Zkądże to wszystko wiesz, mój Szymonie? — przerwała pani.

— Eh, ludzie już dawno o tem gadali, a teraz oto, jakem poszedł szukać domostwa Jędrzejki, to mi stary Natoś jeszcze opowiadał. Powiada, że mógłby na wszystko świadczyć i przysiędź, mówił stangret — ale to takż



Edward VII, król Wielkiej Brytanii i Irlandyi, cesarz Indyi.

chłop nic wart, jak wszyscy na Budach! — dodał jakby do siebie.

— Moja mamusiu, to oni i Pawełka bić będą, kiedy jego matkę tak zbili, że aż z tego umarła — ozwała się Hania. — To są bardzo źli ludzie — dodała.

— Tak, moje dziecko, z tego co słyszę, i z całej ich rozmowy widzę, że są źli i chytry — odrzekła matka.

— Czy nie możnaby co temu zaradzić? — spytała dziewczynka.

— Czemu, moja córko?

— Żeby byli lepsi i żeby odebrać Pawełka.

— Ludzi odrazu poprawić nie można, a o Pawełku pomyślimy, żeby mu nie robili krzywdy — odrzekła matka.

— Rozkaz ojca nie wiele pomoże, w każdym razie opowiemy mu wszystko, może się co na to poradzi. Tymczasem jednak trzeba nam będzie wkrótce tam zajrzeć.

— Oh, ja już tam więcej nie pojedę! — przerwała wstrętem Hania.

— A to ładnie, chciałaś się opiekować malcem, a raz się usuwasz!

— Ale bo... — zaczęła dziewczynka i nagle umilkła.

— Bo co? nalegała matka.

— Tam tak brzydko!

— Gdzie bieda i nędza zawsze bywa brzydko, a tego, że brzydko odwracać oczu nie możemy.

— To tacy źli ludzie — tłumaczyła się Hania.



Ślub królowej Wiktoryi z ks. Albertem Koburskim, 10 lutego 1840 roku.

I obiedwie na chwilę umilkły, a bryczka posuwała się szybko po równej drodze.

— Moja mamusiu — odezwała się po chwili Hania — dla czego oni nie chcieli nam oddać tego chłopca? czy oni go tak kochają?

— I ja myślałam przed chwilą, że się do dziecka przyzwyczaili i nie chcą się z nim rozstać — odpowiedziała pani Chrustowska — teraz jednak, gdy się dowiedziałam całej historii, widzę, że boją się oddać nam chłopca, ażebyśmy się nie upominali o pozostałość po jego matce.

— To tem więcej trzeba odebrać chłopca! — rzekła Hania takim stanowczym głosem, że aż matka pomimowoli uśmiechnęła się i spytała:

— I jakże to uczynisz?

— Jak tylko tatuś przyjedzie, opowiem mu całą historię i poproszę, żeby im kazał chłopca odebrać.

— Właśnie dla tego, że źli, musimy do nich się zbliżyć, może potrafimy w ich sercu obudzić jakieś lepsze uczucie. Widzisz, moje dziecko, chciałaś przed chwilą opiekować się sierotą, a teraz stygniesz w swoich dobrych zamiarach — ciągnęła dalej matka — kto sobie raz co postanowić powinien spełnić, nie zrażając się trudnościami.

— Ja też chcę się opiekować Pawełkiem, tylko nie chcę widzieć tych ludzi.

— Więc jakże to uczynisz?

— Będę mu szyć koszule, sukienki, mama da zawsze chleba, kaszy i pošlemy przez kogo, a potem tatko go odbierze i basta! — odrzekła dziewczynka ze zwykłą swoją żywością.

— Żadna opiekunka, nie ma co mówić! zapomina o tem, że tatki niema w domu.

(d. c. n.)

Zofia Urbanowska.

## RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej

## CZĘŚĆ TRZECIA.

Od Redakcyi \*). Rozpoczynając druk *Trzeciej części* powieści Zofii Urbanowskiej, p. t. *Róża bez kolców* przytaczamy pokrótce treść dwóch poprzednich części dla nowych czytelników, którzy początku nie mają.

Do Zakopanego przyjeżdża magnat angielski z rodziną, i spotyka w chacie góralskiej, gdzie chwilowo znalazł schronienie w czasie burzy, trzech turystów: dwóch Polaków, malarza i doktora, oraz Niemca profesora Stranda. Każdy z nich, oprócz przyjemności, ma jeszcze jakiś osobisty w zwiedzaniu Tatr interes: jeden zbiera rośliny górskie, drugi szkicuje krajobrazy, trzeci wreszcie, uczony Strand, poszukuje pewnego osobliwego ramienionoga, którego ród podobno przechował się z epoki lodowej w jednym z jezior tatrzańskich.

Z rozmowy z przybyłym cudzoziemcem okazuje się że i on także nie przybył tu bez celu: szuka mianowicie „róży bez kolców,” *Rosa alpina*. Oświadczenie to budzi w turystach zdziwienie: *Rosa alpina* bowiem, rośnie nietylko w Tatrach, jak sama jej nazwa wskazuje — a osoba angielskiego baroneta wydaje im się zagadkową, tajemniczą, i daje pole do najrozmaitszych przypuszczeń. Wszyscy trzej postanawiają jednak dopomóc Anglikowi w jego poszukiwaniach, i w następnych rozdziałach widzimy ich towarzyszących mu najprzód do Kościelisk, a potem do Morskiego Oka, przez Krzyżne.

Wspólne te wyprawy dają czytelnikom sposobność obeznania się z przyrodą Tatr i charakterem tych gór.

W grotach Doliny Kościeliskiej, uczony Strand, będący śmiertelnym rodu niewieściego nieprzyjacielem, znajduje błękitną wstążkę, która następnie staje się powodem jego kłopotów — a podczas gdy on zapuszcza się ze stoczkiem w podziemia, badając ich wiek geologiczny, pozostali towarzysze przyjmują wizytę niedźwiedzia, którego zabija zręcznym zrzućciem kamienia piętnastoletni Henryk. Do chłopca tego Anglik uczuwa pociąg niewytłomaczony, a uczucie to znajduje oddźwięk w sercu młodzieńca, Henryk przybyły z nad Świtezi wraz z babką i małą siostrzyczką, jest nieodstępnym towarzyszem jednego z trzech turystów, doktora, dawnego przyjaciela rodziny, i pomaga mu zbierać zielnik.

W jednym z rozdziałów, autorka zaznajamia czytelników z wielką Tatr osobliwością, wichrem halnym, a przygoda młodej siostrzyczki Henryka podczas tego wichru, pozwala się domyślać, że między przybyłą z nad Świtezi rodziną, a angielskim magnatem, istnieje jakaś nić tajemnicza.

Część druga kończy się noclegiem na szczycie Krzyżnego.

Rodzinę baroneta stanowi synowa jego, lady Chester, z młodym Dawidem rówieśnikiem Henryka, apatycznym, rozpieszczonym chłopcem, który jednakże nie jest wnukiem baroneta, bo nieżyjący już syn jego Ryszard, ożenił się z wdową. Między sir Edwardem Warburtonem, a lady Chester jest wzajemna niechęć, a pani drży ustawicznie, aby surowy a bezdzietny starzec przeciwny miękkiemu wychowaniu jej Dawida, nie usunął go od dziedzictwa po sobie.

\*) Aby ułatwić naszym prenumeratom otrzymanie pierwszych dwóch części ciekawej powieści Zofii Urbanowskiej „Róża bez kolców” drukowanych w Nr. 1 — 51 *Wieczorów Rodziny* z r. 1900, niezależnie od powyżej zamieszczonego streszczenia, zatrzymaliśmy pewną ilość zbroszowanych roczników pisma z 1900 r., które możemy odstąpić tylko prenumeratom *Wieczorów* za 3 r. w Re-

## XX. Zaczarowane klejnoty.

Gdy Warburton nazajutrz obudził się i wyszedł z namiotu, na niebie błyszcząły jeszcze gwiazdy, we wszystkich zagłębieniach skał i dolinach było szarawo, a mgły i opary czołgały się nisko po ziemi i chowały po kątach niby duchy ciemności. Tylko od strony Koszystej wstawała jasność jakaś blada, opalowa, a za nią szedł brzask bramujący złotem brzeżki obłoków i rozlewał się coraz szerzej po niebie.

Na mchu leżał gruby szron, a chłód był tak ostry, że Warburton aczkolwiek wytrzymały na zimno, silnie się pledem osłonił. Taki sam szary był świt, takie niebo gwiaździste i taki szron na liściach, przed wielu, wielu laty, w owym pamiętnym dniu, gdy opuścił dom rodzinny w tajemnicy przed rodzicami, przekradając się cicho jak złodziej przez dziedziniec, z tłumoczkami na plecach, żeby go kto nie zobaczył, aż do plotu, gdzie czekał na niego jego przyjaciel, tak samo jak on, rzucający chatę rodzinną.

Tyle od tego czasu widział wschodów słońca, tyle przeżył.. i niewiadomo czemu dziś właśnie tak żywo stanęło mu to przed oczyma... O, te wspomnienia!

A brzask rozlewał się coraz szerzej, pobladły od niego gwiazdy, pobielewały opary i zaczęły się odsłaniać wnętrza dolin, których boki ciemnym pokryły się szafirem, a szczyty błękitniały.

Zarumienił się szczyt Gerlachu, jakby go kto we krwi umaczał i zaczęły po nim przebiegać drżące światła: za Gerlachem jak za królem Tatr, jęły czerwienić się końce wszystkich iglic, niby pochodnie zapalające się kolejno, a przebiegające po nich drżące blaski, malowały na różowo leżące na nich śniegi. Pożar ogarniał szczyty coraz szerzej i szerzej, a trzy zwierciadła stawów błyszcząły jak klejnoty. Słońce w palecie swojej dla każdego inne barwy znalazło: jedno błyszcząło jak srebro, drugie jak szmaragd, a trzecie jak szafir. Odsłoniły się wszystkie gór tajemnice: cała dolina Pięciu stawów widna była jak na dłoni, i rozlała się po niej łagodna niebieskość.

Z zadumy zbudziło Warburtona głośnie ziewnięcie; odwrócił się: stał za nim profesor w serdaku, okryty derką, w którą udrapował się zamiast plega.

— Dzień dobry, sir — przemówił cały drżąc — dyabło zimno. Założę się, że musi być kilka stopni mrozu. Jaki obfity szron wszędzie!

— Słońce go roztopi i ogrzeje nam prędko powietrze. Patrz pan, jak brzask posuwa się coraz dalej! Ale co pan tak drżysz?

— Ach, bo jestem pod wrażeniem większego jeszcze zimna w jakim przebyłem noc całą. Byłem na lodowcu!

Sir Edward spojrzął na profesora zaniepokojony: Strand uśmiechnął się.

— Jestem zupełnie przytomny — rzekł tonem uspokajającym — ale miałem sen, sen piękny, wspaniały! Widziałem Tatrę w epoce lodowej.

— Aa! to ciekawe!

— Góry pokryte były śniegiem i lodem, a słońce wschodzące jak teraz oto, miało promienistą aureolę, niby zorza północna. Tatrę pozbawione były wszelkiego życia: wśród turni panowała grobowa cisza, której nie przerywały nawet szumiące po skałach strumienie; miejsce ich bowiem zajmowały lodowce. Na wszystkich piętrach dolin nie było stawów, najpiękniejszej Tatr ozdoby, tylko z pod ostatnich krańców lodników wybuchały strumienie zamocnej startym materiałem moreny podstawowej. Na niższych

dakcyi i 3 r. 50 k. z przesyłką pocztową. Rocznik ten zawiera także „Testament Dziwaka” Juliusza Verne’a, kilkanaście listów Janka Z. z Transwaalu, początek Dzienniczka Wańdzy i wiele innych powieści i artykułów. Dla nieprenumeratorów cena rocznika wynosi rb. 4.

N. B. W obec niewielkiej ilości tych roczników, radzimy zgłaszać się o nie jak najprędzej.

pasmach zieleniły się lasy iglaste, wśród których żyły stada kozic, jeleni, sarn, dzików. Po wysokich miejscach reny skubały mchy, a w jaskiniach i u brzegu lasów, czaiły się drapieżne zwierzęta, jak niedźwiedzie i wilki jaskiniowe, lisy polarne i koty dzikie, a niędzy niemi przebiegały tu i owdzie zające alpejskie, norniki i od czasu do czasu słycać było odzywające się przeciągle świstaki.

— A gdzie był pański Brachiopod? Czy nie objawił się panu we śnie?

— Na lodowcu, naturalnie, ale nie mogłem go dojrzeć. Przeczuwałem tylko.

— A człowiek? Czy nie widziałeś go pan wcale?

— Owszem, zjawił się nieco później; krył się w jaskini, odziany skórą niedźwiedzia, lub z kawałkiem skały w ręku polował na dzikie zwierzęta. Widziałem jednego, jak siedząc przy rozplatanym dziku, wydobywał szpik z rozłupanej kości i zjadał jak największy przysmak. Ale co za przenikliwe zimno!

— Otul się pan lepiej, niezadługo już słońce posunie się wyżej i cieplej nam będzie. Nie dziwię się teraz że pan tak zmarzłeś, gdy wiem że powracasz z epoki lodowej. Ale gdzie to nasi górale?

— Widziałem ich biegnących na dół po smereczynę, to i przy ognisku niezadługo rozgrzać się będzie można. A jak to herbata smakuje w takich okolicznościach! Ach, to nektar prawdziwy, którego nic zastąpić nie zdoła. Ale gdzie to Walter i Dawid?

— Śpią jeszcze; nie budziłem ich, bo bardzo pomęczeni. Nasi towarzysze z szałasów także jeszcze nie wstali, i my tylko sami jesteśmy świadkami tego wspaniałego wschodu słońca.

— Myślałem że będę pierwszym, a pan mnie uprzedził, sir. Ale co to jest, ktoś śpiewał!

Z rozpadliny położonej o kilkadziesiąt stóp niżej, wydobywał się głos chłopięcy, głos miły, dźwięczny i łagodny. Śpiewaka nie było widać, tylko śpiew płynął w powietrze.

„Kiedy ranne wstają zorze,  
Tobie ziemia, Tobie morze,  
Tobie śpiewa żywioł wszelki,  
Bądź pochwalon Boże wielki!”

Warburton mocniej pędem się otulił: Strand zauważył, że zadrżał. Obaj zwrócili się mimowolnie w stronę skąd śpiew pochodził, i zobaczyli że górale wracający z pękami smereczyny, poklekali przy szałasie i poodkrywali głowy. Śpiew teraz zabrzmiał chórem:

„A człowiek który bez miary  
Obsypany Twemi dary,  
Coś go stworzył i ocalił,  
A czemużby Cię nie chwalił!”

Warburton uległ halucynacyi: wydało mu się że słyszy głos sygnaturki wiejskiego kościołka, wzywający na mszę poranną; z nad łąk i stawów odzywają się głosy fujarek pastuszych i klekot bociana, a ponad głową leci stado dzikich gęsi. Zobaczył zieleniejące łąki zboża i krzyż przy drodze.

— Jaki ten sir Edward jest niewytrzymały na zimno— myślał Strand, przypatrując mu się: — pobladł nawet trochę.

Baronet zwrócony ciągle w stronę skąd śpiew pochodził, patrzył szklanym wzrokiem w przestrzeń, a głos oddalał się coraz więcej, aż ucichł zupełnie.

Henryk oczarowany widokiem wschodu słońca i orzeźwiony rannem wstaniem, schodził coraz niżej po pochyłości Wołoszyna, upatrując różny bez kolców. Przypatrywał się mchom i porostom barwnym, na których leżał szron. Wziął z sobą puszkę pana Jakóba i kładł do niej napotkane rośliny, chcąc zrobić przyjemność swemu przyjacielowi.

Mech od szronu błyszczał milionami dyamentów, a widok ten przypominał chłopcu wszystko co słyszał o skarbach chowanych przez zbójników w rozpadlinach skał, o drogich kamieniach, które garściami brać było można, o dukatach „mierzonych kotliczką.” Wyczytał gdzieś, że Staszyc jeszcze twierdził iż górale przechowywali między sobą pisma, w których wyraźnie oznaczone były miejsca, gdzie skarby takie odnaleźć było można— oraz że pisma te przekazywali sobie z pokolenia w pokolenie.

— O, gdyby mi się udało znaleźć taki skarb — myślał chłopiec — jakże byłbym szczęśliwy! Bieda raz na zawsze opuściłaby nasz dworek, a dziadunio popłaciłby długi i rozpopodzyłby czóło wiecznie zasepionio i stroskane.

Wtem zdało mu się, że spostrzega jakieś znaki na wystającym załomie skały, mocno spękanej, jakieś hieroglify. Serce mu zabiło; zbliżył się i usiłował odgadnąć, czy to znaki zrobione ręką ludzką, czy też przypadkowe, pochodzące od spękania. Tak, to chyba znaki, jakieś trójkąty, jakieś hieroglify!... Kto wie, a może tu jest skarb ukryty, może tu gdzie znajduje się jaka rozpadlina!

(d. c. n.)

## 14-y list Janka Ż. do Redakcyi „Wieczorów.”

(Dalszy ciąg)

24 sierpnia 6 po południu.

Za trzy godziny uciekamy, nie można zwlekać dłużej, widziałem dziś Minę Burns. Jest wolna, uwięziono tylko panią Katy, Mina wcisnęła mi w rękę kartkę. Boże, jakaż była blada! Ona niezmiernie kocha Roberta. Przeczytałem kartkę w redakcyi i podarłem ją zaraz na strzępki, bo Mina donosiła w niej, że policya angielska jest już na tropie Burnsa. Mina naraża własne życie dla stryja i żeby czuć nad nim kraży pod różnemi przebrańiami około hotelu, w którym mieszkamy. Powiedziałem Robertowi, że musimy uciekać i wracając z redakcyi kupiłem dla niego ubranie, takie jakie noszą murzyni, używani do posług. Ubranie ukryłem pod surdudem, aby nikt w hotelu nie widział, że wnoszę pakunki. Robert jest jeszcze osłabiony, to też zabieram z sobą flaszkę koniaku. Tak wielu murzynów kręci się na korytarzach hotelu, że służba nie zwróci może uwagi na jednego więcej czarnego tragarza, bo uczernię szuwaksem twarz mego przyjaciela. Co jednak zrobić z jego włosami, są one długie i jasne. Spróbuję być fryzjerem, ostrzyżę Roberta i posypię mu głowę sadzą. To dobra myśl doprawdy. Kupiłem dziś zegarek; bez zegarka niepodobna obejść się w podróży, bardzo tani, wydałem jednak sporo pieniędzy, gdyż musiałem także nabyć dwa rewolwery. Robert wierzy w zwycięstwo Burów, liczy na wojnę chińską, czytujecie zapewne koledzy o tej nowej wojnie na którą Anglicy wysłać musieli niemało żołnierza, liczy jednak przedewszystkiem na sprawiedliwość Bożą i na dzielność swego narodu

Takie są przekonania mego przyjaciela, podziwiam jego spokój wobec niebezpieczeństwa, na jakie naraża się, uciekając. On śpi teraz a ja piszę do was. Cncemy pod osłoną nocy dotrzeć do znajomego Burnsowi karczmarza; uprzedzony przez Minę, czeka on na nas z końmi w szopie pod Johannesburgiem, ztamąd pojedziemy w stronę Pötschefstroom, bo około tego miasta kraży teraz oddziały de Wetta i Delareya. Aby tylko przebyć szczęśliwie linię angielskich patroli, w tem leży całe niebezpieczeństwo. Pikiety rozstawiono w koło Johannesburga, a przepuszczają tych tylko, którzy wiedzą hasło lub zaopatrzeni są w pozwolenie przejazdu. Takie pozwolenie marszałka mam w kieszeni, a przecież murzyn towarzyszący mi nie powinien wzbudzić

podejrzeń. Kupiłem na ten cel całe pudełko szuwaksu, trzeba będzie niedługo rozpocząć toaletę Roberta, bo zbliża się czas ucieczki. Robert wychodząc z hotelu weźmie na ramię paczkę, w której są książki; tatko opowiadał mi, że Napoleon III ci, późniejszy cesarz Francuzów, gdy uciekał z fortecy Ham, to przebrał się za robotnika i wziął deskę na ramię, udając pracującego przy naprawie warowni, deską zasłonił twarz, to mu ułatwiło ucieczkę. Tak zrobi dziś Burns, ukryje twarz za skrzynką i wyjdzie ze mną z hotelu. Kolejną wyjechać nie możemy, bo wagony są zajęte przez wojsko, każdy prywatny podróżny zwraca na siebie uwagę, zwłaszcza, że w pociągu oświetlonym elektrycznością, poznanoby fabrykowanego murzyna, gdyż szuwaks jest lichą farbą, a ja lichym malarzem.

Co stałoby się w takim razie?... Brrr! strach pomyśleć. Roberta czekałby zapewne los Cordny, a ja nie prędko zobaczyłbym ojca. Na co jednak odbierać sobie odwagę przewidywaniem nieszczęścia, lepiej ufać opiece Bożej i robić swoje, to znaczy wrzucić ten list razem z poprzednim do skrzynki pocztowej w hotelu, a zaczynać toaletę Roberta, bo właśnie bije siódma, jest już prawie ciemno, nie można zwlekać dłużej. Co też powiedzą w redakcji gdy jutro nie przyjdę? Mniejsza z tem, niech powiedzą co chcą, ja tymczasem biorę nożyczki, dla czegoż nie miałbym być dobrym fryzjerem. Przyszło mi tylko do głowy to co czytałem o życiu Ludwika XVI-go króla francuskiego, że skazanym na śmierć kat obcina włosy przed egzekucją. Biedny Robert, miałbym spełniać przy nim obowiązki kata, bo jednak życie jego wisi na włosku. Okropna myśl, lepiej może zaniechać ucieczki a Burnsa ukrywać jak dotąd w hotelu. Ale Mina straszy, zdaje mi się nawet, że słyszę jakiś niezwykły ruch w korytarzu. Ktoś odszedł od naszych drzwi... Może podsłuchiwał?

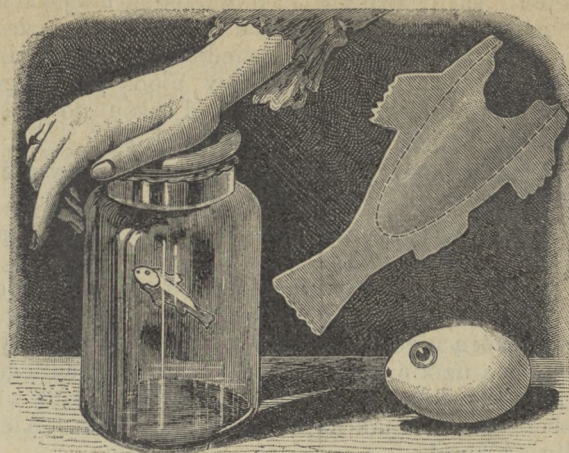
Niedołęga ze mnie, zamiast się rozczulać przewidywaniami, lepiej działać.

Żegnam was, koledzy, biegnę wrzucić oba listy do skrzynki a potem obudzę Roberta. Ostatnia moja myśl o was i ojcu.

*Struś.*

## ZABAWKA NAUKOWA.

Zrobiwszy dwa małe otwory w obu końcach surowego jajka, wydmuchujemy zawartość jego, poczem zalepiamy woskiem jeden z otworów. Teraz należy narysować na cieńszym końcu tej skorupki parę ocz, według wzoru na powyższej rycinie, a następnie uszyć również według wskazanego wzoru woreczek z czerwonej flaneli, kształtu ryby, z płatkami przedstawiającymi płetwy i ogon. W środek tego woreczka kładziemy kilka ziarn śrutu lub drobnutkich kamyczków, a wsunąwszy weń następnie do połowy skorupę jajka, skleamy za pomocą czerwonego laku. I oto sztucz-



na nasza rybka gotowa. Władamy ją teraz do słoja napełnionego wodą, który zamknijmy szczelnie pęcherzem lub błoną kauczukową. Ładunek śrutu należy w ten sposób dostosować, aby rybka utrzymała się na powierzchni wody, lecz aby za najlżejszym dotknięciem tonęła. Jeżeli teraz naciśniemy dłonią pęcherz osłaniający otwór słoja, pęcherz ugina się nieco i ciśnienie na powietrze zostające ponad wodą, powietrze przez sprężność swoją ciśnienie znów na wodę i ta wdziera się przez otwór do wnętrza jajka czyli naszej sztucznej rybki, która, staje się naturalnie cięższą i pogłębia się w wodzie. Skoro wszakże usuniemy rękę, przerywamy ciśnienie zewnętrzne, powietrze w jajku wypycha zeń wodę, a rybka znów lżejsza, dąży na powierzchnię. Gdy powtórzymy czynność tę raz po raz, rybka będzie w nieustannym ruchu, i widzom, którym obca jest przyczyna zjawiska, zdawać się będzie, że rybka słucha naszych rozkazów.

## SZARADA.

*Pierwsze z drugim, wśród drobiu głośno się odzywa,  
Druga z czwartym milcząca, lecz najświeżniej pływa.  
Czwarte z pierwszym w swej głębi ma ognia otchłanie.  
Pierwsze z czwartym jest jedną z wysp na oceanie.  
Czwarte z trzecim odrzę służną w każdym budzi,  
Bo nigdy nie jest środkiem stosownym dla ludzi.  
Za czwarte znowuż drugim, nie raz z woli nieba,  
Moralnie, z przeciwnością porwać się potrzeba.  
A trzecim, gdy jest samo w gramatycznym szyku,  
Byłeś, jesteś i będziesz miły czytelniku!  
Wszystko wraz zdala od nas, w innej części świata,  
Zkąd obecnie niestety! wieść do nas dolata,  
Że tam niejeden przybysz, przez mylną rachubę,  
Rzuciwszy kraj ojczysty napotyka zgubę.*

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Z życia królowej Wiktoryi (z rycinami). — Baśń o zaklętej królownie i dzielnym żaku, przez A. L. Szymańskiego. — Pani-czyk, przez Z. Morawską. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską. — Czternasty list Janka Ż. do Redakcji Wieczorów. — Zabawka naukowa (z ryc.) — Szarada. — Dodatek: Abecadło w obrazkach: Lód (z ryc.) — Pogadanki z życia codziennego (olówek). — Bogactwo naszej ziemi, wiersz przez Stanisława Jachowicza. — Piotruś i Basia przez A. Skibniewską. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Dziedzictwo Karola Wielkiego, powieść historyczna z IX-go wieku Karola Deslys, przekład z francuskiego M. K.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Цензурою. Варшава 22 Января 1901 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



## Abecadło w obrazkach.



Jaka ta nasza zima długa i jak daje się we znaki małym dzieciom, które muszą siedzieć w domu i patrzeć przez okno na biały puszek, spadający z nieba, i pokrywający ziemię, drzewa i dachy. A jednak roślinki i ziarenka, w ziemi złożone lubią śnieg bardzo, bo im pod nim ciepło, jak pod pierzynką, bo brzydki mróz nie zmrozi ich delikatnego ciała. Starsze dzieci lubią też zimę, mogą bowiem saneczkami jeździć, albo ślizgać się po lodzie.

Mały Lucuś zuch, nie boi się zimna. Na gwiazdkę dostał łyżwy, takie śliczne, błyszczące. Patrzcie, jak się ślizga, jaki rumiany, jak uradowany. Czapeczkę ma ciepłą i kołnierzyk i zarękawek.

Wesołej zabawy, Lucusiu! Złe być zmarzlakiem i piecuchem; trzeba od dziecka uczyć się znosić zimno, zarówno jak gorąco, by zawsze być zdrowym na ciele i duszy.

N. Nagórna.

## Pogadanki z życia codziennego.

## Ołówek.

**Staś.** A ja ci mówię, że ołówek robi się z ołowiu.

**Karolek.** A ja ci mówię, że nie! Z ołowiu! Toś wymyślił!

**Staś.** No, to dla czego nazywałby się ołówek? Właśnie dlatego, że z ołowiu.

**Karolek.** Nie wiem dla czego tak się nazywa, ale nie jest z ołowiu.

**Staś.** No więc z czego? z czego? Powiedz, kiedyś taki mądry.

**Karolek.** Nie wiem z czego, nie pamiętam.

**Mama.** O co to wam idzie, chłopcy? O co się sprzeczcacie?

**Karolek.** A bo Staś powiada, że ołówek robi się z ołowiu. Prawda, mamusiu, że nie? Prawda?

**Mama.** Karolek ma słuszość. Ołówki nie wyrabiają się z ołowiu...

**Staś.** To po co je tak nazywają podobnie do ołowiu. Każdy może pomyśleć...

**Mama.** Niegdyś wyrabiano rzeczywiście ołówki z ołowiu i stąd ta nazwa. Teraz jednak ołówek wyrabia się z grafitu.

**Karolek.** Ach, już sobie teraz przypominam. Pani w szkole opowiadała nam...

**Staś.** A co to takiego „grafit?” moja mamusiu.

**Mama.** Grafit jest to czysty węgiel.

**Staś.** Węgiel? Ten węgiel co się w piecu pali?

**Mama.** Bardzo blizki krewny tego. Kopie się on także w ziemi.

**Karolek.** Ojej! co to się z tej ziemi wydobywa. I węgiel i złoto i sól i grafit...

**Mama.** I wiele, wiele jeszcze innych rzeczy. Otóż powiedziałam, że grafit kopie się w ziemi. Naturalnie, że trzeba go pokrajać na cienkie laseczki, takie, jak widzicie w ołówku. Do tego jest potrzebna maszyna, bo człowiek ręcznie tegoby zrobić nie potrafił. Kiedy laseczki już gotowe, co trzeba teraz zrobić, Stasiu, jak myślisz?

**Staś.** Wiem; trzeba oprawić w drewniko.

**Mama.** A naturalnie. Trzeba te laseczki oprawić boby się łatwo złamały. Do zrobienia laseczek znowu jest potrzebna maszyna. Pomiędzy dwie połówki drewniane kładzie się laseczka grafitu i ołówek gotowy. Tak się postępuje, gdy grafit wykopany jest zupełnie czysty.

**Karolek.** A jak nie jest czysty, to co mamusiu?

**Mama.** To należy oddzielić czyste części od przymieszek. Robi się to w ten sposób, że się tłucze grafit i przez płókanie w wodzie oddziela się grafit, który ugniatają z gliną i gumą, wypalają w piecu i z tego dopiero tną laseczki na ołówki,

**Karolek.** A ja bym się jeszcze chciał dowiedzieć czegoś, mamusiu.

**Mama.** Czego, synku?

**Karolek.** Widziałem, że na niektórych ołówkach jest napisane Nr. 3, Nr. 2. Co to znaczy?

**Mama.** Numery oznaczają twardość ołówka. Czem numer wyższy, tem ołówek twardszy. Twardość ołówka zależy od ilości zawartej w nim gumy i gliny, a także od sposobu wypalania.

**Staś.** O, to już wiem, że moje ołówki, co mi tatusz wczoraj przyniósł, są z grafitu. I ten zielony, i ten czerwony...

**Mama.** O, to się bardzo mylisz. Ołówki kolorowe robią się z gipsu lub kredki, do której dodaje się farby.

**Staś.** Tak? To ja nie mam ołówka z grafitu. O, muszę poprosić tatusia, żeby mi kupił. Cóż mi tam ołówek z kredki!...

**Karolek.** Ale jak się nim ładnie rysuje. Jabym wolał mieć kolorowe, ale cóż, w szkole nie wolno kolorowemi rysować.

**Mama.** To też w szkole będziesz rysował zwyczajnym. A gdy zechcesz zrobić coś bardzo pięknego, to

(1) Staś swoich pożyczysz? Prawda?

**Staś.** Dobrze, mamusiu.

Z. K.



## Bogactwo naszej ziemi.

Góry dają żelazo, rola ziarno niesie,  
Jest miód, drzewo, len, olej i zwierzęta w lesie,  
Są kwiaty rozmaite, widoki prześliczne,  
Ryby w rzekach, w ogrodach owoce rozliczne,  
Bujna pasza dla bydła, sól, bogactwo nasze;  
Ze zboża cudna mąka, sławne polskie kasze,  
Grzyby, rydze i trufle, ziemniaki, jagody,  
Arbuzy i melony, smaczny groszek młody,  
Włoszczyzna i sałata, kapusta głowiasta,  
Którą każda wybornie przygotowia niewiasta:  
Robi w podróż bigosy i pakuje w faski,  
By się długo bez cudzej obejść można łaski,  
Bo czy to na noclegu, czy to na popasie,  
Wyborny z nich posiłek mamy w każdym czasie;  
Albo ogórki nasze, co tak mądrze kwaszą —  
Patrzaj, co tu bogactwa, kochaj ziemię naszą!

i \* \*

Krowa, co daje mleko, masło i ser z mleka,  
Wół, to pomoc powszechna, podpora rolnika;  
Mamy skórę na buty, mięso do jedzenia,  
Nawet kości i rogi nie są bez znaczenia.  
Któż nie wie, jak smaczny barszcz z wołową rurą,  
Jak zgodny z naszą siłą i krzepką naturą;  
Łój na światło, a flaki wyborna potrawa,  
Której po całym świecie rozchodzi się sława.  
Baran, co daje wełnę, a z wełny barana  
Robią się różne sukna dla chłopka i pana.  
Ze skór ciepłe kozuchy, a owcze mleczywo  
Wyborne da ci sery, które zjesz co żywo.  
Wieprz daje nam słoninę, lub pokarm nią krasi,  
Tysiące z niej użytków mają ludzie nasi.  
Owe kasze jaglane, kluski ze szwedami,  
Coby i sam Lukulus \*) zjadał je z nami;

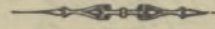
\*) Lukulus — słynny smakosz rzymski.

Owe kielbasy z czosnkiem, kiszki z majerankiem,  
Co ich krocie zmiatają codziem z każdym rankiem,  
Bo, czyż lepsze śniadanie może być na świecie  
Jak gdy dobrą kielbasę polską mieć możecie?  
Albo pączki na szmalcu, faworki w zapusty,  
Ten nie każdemu znany polski przysmak tłusty.  
Chwalcież Boga dziateczki za tak dobre rzeczy,  
Bo, że to dobre rzeczy, któż temu zaprzeczy.

\* \* \*

Klinat miły, łagodny, są deszcze i słoty,  
Ale im to winniśmy ten urodzaj złoty.  
Niema strasznych upałów i trzęsienia ziemi,  
Są mrozy, aleśmy się oswoili z niemi;  
Krzepią naturę naszą i dodają siły,  
Nie zna włoski niewieściuch, co przymrozek miły.  
Ciepło też i wygodnie przy naszym kominie,  
Bóg dał drzewa dostatkiem, zima jak nic minie;  
Znów ogrody zakwitną, zazielenią lasy  
I wrócą lubej wiosny najmiłsze nam czasy,

Stanisław Jachowicz.



## Piotruś i Basia.

(Dalszy ciąg).

Służąca dała im za tę robotę tylko dziesięć groszy. Piotruś prosił o dwadzieścia, tłumacząc, że komin wysoki i trudny był do czyszczenia, i że naprawdę zasłużył na więcej. Ale Jakóbek mniej był wymagający i dziwnie jakoś pospieszał z wyjściem.

Gdy już znaleźli się na ulicy, Piotruś chciał się podzielić z towarzyszem otrzymanym zarobkiem, ale Jakóbek oparł się temu.

— Nie, nie — rzekł głosem jakby nie swoim — zatrzymaj tych marnych parę groszy dla siebie, mnie się nic nie należy.

Odmowa ta przykrą była Piotrusiowi; chciał jeszcze dalej nalegać, gdy Jakóbek nie uprzedzając go ani słowem, zniknął nagle w bocznej uliczce.

Piotruś zdziwił się zrazu tem znalezieniem się towarzysza, wytłumaczył sobie jednak, że Jakóbek nigdy z nim długo przebywać nie lubiał, więc nie myśląc więcej o tem, poszedł dalej.

Właśnie przechodził obok księgarni, gdy przyszło mu na myśl, jakby się Basia ucieszyła z jakiej nowej książeczki, z którejby dalej uczyć się mogła. Wszedł więc do sklepu i kupił książkę, którą mu sprzedający zalecił — kosztowała właśnie tyle, ile co dopiero zarobił. Zadowolony wychodził z księgarni, gdy nagły hałas na ulicy i jakieś wołania zwróciły jego uwagę.

— Złodziej! łowcie złodzieja, — krzyczało kilka osób biegnących w jego stronę.

Piotruś obejrzał się, szukając oczami, czy nie dojrzy owego uciekającego złodzieja, ale nie spostrzegł nikogo.

— To on! to on! — zawołał nagle tuż przy nim znany mu głos służącej. — To on! trzymajcie go, tego małego kominiarza.

Jednocześnie poczuł, że go ktoś chwyta za kołnierz ubrania. W mgnieniu oka zebrał się tłum w około niego. Jakiś człowiek pięścią mu grożąc, zawołał:

— A to ty, mały hultaju, co wsuwasz się dla kradzieży do domu ludzi poczciwych i ufających, żeś jest porządnym rzemieślnikiem, a tyś tylko złodziejem.

— Przecie ja nic nie ukradłem! — zawołał Piotruś więcej zdziwiony niż przestraszony na razie.

— Nie ukradłeś, a któż wziął, jeśli nie ty, złotą nowiuteńką dziesięciorublowkę, która leżała na pana biurku? To może ja ją wzięłam, co?... ty zmij, ty śmiesz jeszcze twierdzić, że to ja ją ukradłam? — wołała w gniewie kobieta, w której Piotruś poznał służącą z mieszkania, gdzie dopiero co czyścił kominek.

— Niech go przeszukają — zawołał ktoś z tłumu.

— Tak, tak, trzeba ptaszka zrewidować — wołano ze wszystkich stron.

Stróż kamienicy, który pochwytał Piotrusia, uważał się w obowiązku dokonania poszukiwań i przedewszystkiem chciał zdjąć z niego surducik. Ale Piotruś bronił się tak rozpaczliwie, że stróż musiał do pomocy zawezwać jednego z przypatrujących się.

— Żebyś nie wiem jak się bronił, we dwóch przecie damy sobie z tobą radę, ty mały łotrze!

Piotruś zbladł.

— Poczekajcie — rzekł drżącym głosem — sam się rozbiore.

— Nie trudź się kochanku, już my ci pomożemy — rzekł stróż, i zdarł raczej, niż zdjął lichą odzież z Piotrusia, poczem jął prędko przetrząsać w niej kieszenie jedną po drugiej. W ostatniej nareszcie znalazł coś zawiniętego w papier, który gdy rozerwał, z wielkiem tryumfem pokazał wszystkim dziesięciorublową sztukę złota.

Tłum aż zadygotał na ten widok z oburzenia. Po chwilowem głuchem milczeniu zawrzało w nim ze zdwojoną siłą; każdy czuł się w obowiązku wyrazić głośno swą zgrozę.

— Patrzcie, nietylko złodziej, ale jeszcze kłamca bezwstydnym.

— A to małe nicdobrego! co to z niego wyrośnie, kiedy teraz już taki.

— Co za niegodziwość!... A mówią, że ludzie ze wsi są uczciwsi niż miejscy. Ladaco wszędzie się znajduje!... Trzeba go do więzienia wpakować, niech nie szkodzi drugim.

— Do policyi z nim, niech go tam należycie ukarzą.

— Oho, takiego ptaszka policyi prędko nie wypuści!... Tak, tak, policyi go oddać.

— Takie to młode, a już na więzienie zasługuje, — ubclewała jakaś staruszka.

— Miejmy nadzieję, że rodzice jego już nie żyją — wtrąciła inna — bo mieliby z czego osiwieć i sercaby im pękły z bólu i ze wstydu.

Ani na ostatnie bolesne słowa, ani na cały potok obelg i gróźb, które na niego spływały, Piotruś nie odpowiadał już ani słowa, nie bronił się już więcej. Stał nieruchomy i patrzył szeroko otwartymi oczami na mówiących, jakby nie rozumiał zgoła czego od niego chcą; tylko serce ścisnęło mu się z bólu i twarz prawie trupią pokryła się bledością.

Wreszcie prześladowcy popchnęli go naprzód.

— Chodźże, nie marudź, ty nicdobrego! — zawołał stróż.

Dzień ten wydawał się Basi niezmiernie długim i smutnym, nie mogła bowiem nigdzie spotkać się z Piotrusiem, choć biegła na wszystkie te miejsca, gdzie się zwykle schodzili. Nareszcie pod wieczór poczęła się niepokoić, choć jeszcze miała nadzieję, że go już w domu zastanie. Ale gdy i tam go nie było, rozplakała się rzewnie.

— Co się z nim stało? — mówiła. — O Boże, aby tylko nie uległ jakiemu nieszczęściu! A może tylko zatrzymał się gdzie przy robocie, której nie zdążył dokończyć, a nie chce zarobku stracić, pewno za chwilę nadejdzie — uspokajała się znowu.

To jej dodało otuchy; uklękła do wieczornego paciera, w którym serdecznie pomodliła się za brata. Potem usiadła na brzegu sienniczka, nad słuchując, czy kto nie idzie, zrywając się za najmniejszym szelestem. Wreszcie cisza zaległa dokoła, przerywana jedynie chrapaniem Walentowej. W ciszy tej tem głośniej rozlegało się bicie odległego zegara, który godzinę po godzinie wydzwaniał. Noc mijała, a Piotruś nie wracał. Posłanie Jakóbka również niezajęte pozostało. Basia ani na chwilę nie zmrugała oka.

Z pierwszym brzaskiem ranka, wybiegła znowu na miasto. Gdzie tylko zobaczyła kogo znajomego, zapytywała o Piotrusia, ale nikt nie widział, nikt nie udzielił żadnej wiadomości.

Zmęczona niepokojem, bieganiem a nawet głodem, bo od zniknięcia brata nic w ustach nie miała, zziębnięta, spłakana, spostrzegła wreszcie trzeciego dnia dwóch znajomych chłopców, którzy grali w piłkę na ulicy.

— Nie widzieliście gdzie Piotrusia? — zapytała drżącym głosem. Już ze dwadzieścia razy zadawała to pytanie, a dotąd zawsze odpowiadano jej:

— Nie, nie widzieliśmy — albo, nie znamy żadnego Piotrusia.

Tym razem jeden z chłopców rzucił jej pytanie:

— Piotrusia? tego, co to mieszka u Walentowej na Starem mieście i jest kominiarzem, i który z tobą zawsze chodzi?

— Tak — odpowiedziała Basia — może go gdzie widział, zlituj się, powiedz!

— A no, widziałem, ale gdzie, czy ja wiem. Antek, na ciebie kolej, rzucaj!

— Kiedy? kiedy i gdzie? O, przypomnij sobie, ja go tak szukam! — błagała Basia.

— Pewnie nie dalej, jak parę dni temu — rzekł nie dbale chłopak, zajęty swą zabawą. — A to mi się udało, o mały włos byłbym wygrał!

— Którego dnia widziałeś mego brata? — nalegała niezrażona tem Basia.

— To Piotruś twój brat? no, patrzcie, brat! a czegożes go zgubiła? Trza ci było lepiej go pilnować. Antek, pamiętasz? byliśmy wtedy razem. Piotruś stał na moście z tym urwisem Jakóbkiem.

— Czy to było wczoraj?..

— Wczoraj? może być, wczoraj rano... Wygrałem! moja dycha! Chcesz się odegrać, to wal Antek.

— Czy jesteś całkiem pewny, że to było wczoraj z rana?

— Wczoraj, nie wczoraj! *abo* ja już pamiętam, — zawołał niecierpliwie, ale widząc mizerną i smutną twarzączkę Basi — dodał: — Poczekaj, może ja sobie przypomnę, niech się tylko chwilę namyślę. — Co ja wtedy robiłem? Aha! odnosiłem właśnie buty od naprawy na Podwale pod numer 11-ty, panu z trzeciego, i gdy prosiłem po złożeniu życzeń, jak się należy, o noworoczny datek, odpowiedziano mi: „Spóźniłeś się, zuchu, jest tylko jeden pierwszy dzień Nowego Roku” — a zatem to było najajutrz po Nowym Roku.

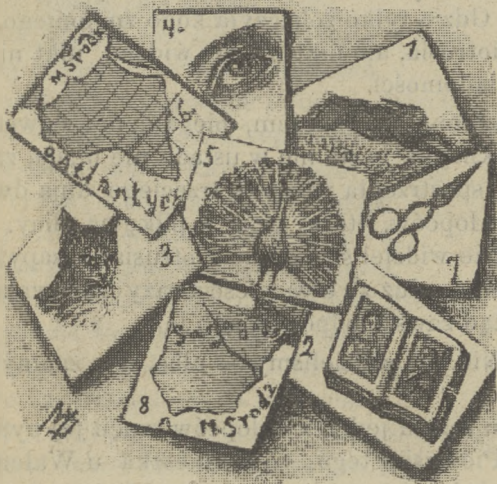
— Więc to już trzy dni, jak go szukam napróżno — westchnęła cichutko Basia.

(d. c. n.)

### ZADANIE NA PRZYSŁOWIE

Z następujących sylab ułożyć przysłowie polskie: brze—co—do—dzie—gło—je—mo—po—się—w—wie—wie—znać.

### REBUS OBRAZKOWY.



Początkowe litery każdego z przedmiotów na powyższych obrazkach, brane w porządku oznaczonym, złożą nazwę pięknej, górskiej miejscowości.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 4-go.

*Szurady*: Rę — ka — wicz — ka.

*Szarady*: Sam — son.

### Łamigłówki w trójkacie:

W a r t a  
a b e l  
r y ś  
t y  
a

## Skrzynka do listów.

**Mysze i Szarotce z Orłowa.** Numer był wysłany, musiał na pocztę zaginać, posyłamy go powtórnie, jak również żadaną książkę. „Róża bez kolców” jak widzicie już rozpoczynamy. Która z panien R. używa pseudonimu, o który zapytujecie, nie wiemy, adresu podać nie możemy w tej chwili.

**Prenumerotorowi z Częstochowy.** Prosimy wybrać sobie książkę z listy ogłoszonej w Nr. 1-ym z r. 1900, a natychmiast ją wysłamy. Premium za rok 1901-y wyjdzie w IV kwartale.

**Rumak i Zielona Żabka z Kujaw** nadesłali **rub. 10** na wpis dla ubogiej dziewczynki. Za przesłane przez Wł. Kownackiego 20 koron otrzymaliśmy rub. 7 kop. 20. Z tych 5 rub. zapisaaliśmy na prenumeratę; 1 r, 30 kop. na wpis; 1 r. 50 k. na wieżę Jasnogórską.

**Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu** nadesłali: Franciszek T., Burka z Wentersdorpu, Uczniaczek, Milcyades, Zwinny Jelonek, Gałązka z nad Dniepru. G. J. i R. Wejs z Konina, Zielony Robaczek. Janinka z Łasku, Australia, Janka z Łodzi, Nanetta i Młody Myśliwy.

**Blondyna z nad Dodmy.** Żalujemy czasem, gdy zrobimy coś bez namysłu: lecz z decyzji powziętej po długim rozmyśleniu, bywamy zwykle radzi, mam nadzieję, że i ty nie będziesz żalowała zawiązania korespondencji ze mną. Sama przyznajesz, że srogą nie jestem i na listy odpisywać lubię. Pseudonym twój dobry. Muzykę bardzo lubię, lecz sama nie grywam. Ślizgawkę uważam za bardzo miłą i zdrową rozrywkę, na którą składają się: ruch i świeże powietrze, tak nam zalecane przez higienę; nie trać nadziei, że przy chęci i pewnej wytrwałości staniesz się jeszcze dobrą łyżwiarką.

Nie obawiaj się **Janinko z Łasku**, abym niechętnie odpisywała ośmioletniej korespondentce, która po raz pierwszy tak mile odzywa się do mnie. Dzieci w wieku twego braciszka, gdy zaczynają wszystko mówić i rozumieć, są rozkoszne, wystawiam sobie jak lubisz się z nim bawić, a jako starsza siostrzyczka, pieścić musisz małego Stasia.

Czy winietka, która zdobi liljową ćwiartkę listu **Córki Ole-siki**, jest własnoręcznej roboty? Jeżeli tak, to ładnie rysujesz i zapewne kształcisz się w tym kierunku? Bardzo wdzięczną jestem, że przemogłaś nieśmiałość i lenistwo, jak to sama przyznajesz, by pogawędzić ze mną. Nie dziwi mnie, że bitwy i wojny mniej zapału w tobie wzbudzają, chłopcy jednak inaczej się na to zapatrują i każdy prawie marzy o czynach bohater-skich i walecznych na polu bitwy. Oddzielny numer „Wieczorów” kosztuje 10 kop. należność można przysłać markami, gdybyśmy mieli adres, wysłalibyśmy zaginione, o których wspominasz.

Staram się jak najprędzej odpowiadać na listy moich korespondentów, a jakże tak przyjemnie i ładnie napisane jak twoje, kochana **Australio**, zostawić bym mogła bez odpisu. Jak wyżej wspomniałam „Róża bez kolców” wkrótce drukować się zacznie, również i „Dzienniczek Wańdzi” Polecam się twojej pamięci, **Sokoła** pozdrawiam.

Cieszę się również bardzo **Lolusiu W.**, że i nadal pisywać do siebie będziemy. Święta już daleko za nami, ale przeszły bardzo wesoło, wyjeżdżałam na parę dni, byłam w twoim mieście rodzinnym. Oczekiwać będę obiecanego listu.

**Młodemu Myśliwemu i Nanecie.** Rozwiązania dobre, ale list za krótki, na przyszły raz spodziewam się, że dłużej napiszecie, a tymczasem pozdrawiam was oboje.

**W Jance z Łodzi** powitałam dzisiaj nową korespondentkę, Łamigłówki złożyłam w Redakcyi, ale przyjęcie ich nie ode mnie zależy; w każdym razie czekać muszą swej kolei.

**Rybitwie z nad Wisły** za ładną kartkę z Antwerpii dziękuję bardzo, ale czyżybś sama porzuciła brzegi Wisły i pluszczesz się teraz w Skaldzie, czy tylko masz kartki belgijskie?

Wasza *Jaskółka*.